

ŚWIATŁO

Prosiłem cię, żebyś dzisiaj przyszła, bo tutaj jesteśmy mniej więcej bezpieczni, i możemy spokojnie porozmawiać — mówi.

I dlatego, że od wczoraj krążę po omacku, jak ślepy, mówią jego oczy, dlatego, że jestem zupełnie zdezorientowany, dlatego że oczekuję od ciebie pomocy.

— Bezpieczni? — pyta ona. — Czy coś się stało?

— Samochód przyjedzie po ciebie dopiero po południu. Mamy dla siebie prawie cały dzień, więc wszystkiego się dowiesz. Czy chcesz usiąść tutaj?

— Pułapka? — uśmiecha się ze zdziwieniem, choć właściwie jest zadowolona, bo to w jego stylu: dwa wypłowiałe leżaki i taboret ustawione na zboczu skarpy w gęstej przywędłej trawie, gdzie jeszcze tu i ówdzie leżą resztki śniegu, mimo że drzewa wiśniowe obsypane są kwiatami, a pszczoły roją się dokoła nich, i jest ciepłe, łagodne powietrze. Siada, nie zdejmując płaszcza, i przymruża oczy, bo choć wszystko jest dzisiaj szare, nawet śnieg i kwiaty, z nieba sączy się blask. Niebo jest bezkresne, a głęboko pod jej stopami leży fiord, na wodzie warkoczą łodzie-zabawki i kołyszą się mgliście splawiki sieci rybackich.

— Jak tu cudownie — szepcze, lecz jest zupełnie rozbita, bo widok działa na nią jak muzyka, i nie wie, czy jest szczęśliwa, czy pogrążona w smutku; to on musi rozproszyc ten nastrój.

— Patrz, co znalazłem! — woła z ożywieniem i wyczarowuje z trawy butelkę, dwie szklanki i paczkę papierosów. Słyszy jej śmiech, a wino już kłaska w jej głosie.

Lecz ona wyrzuca sobie tę radość, bo widzi, że jest blejszy niż zwykle, i mówi coś o niebezpieczeństwie, więc odwraca głowę i między sękatymi pniami owocowych drzew, kątem oka dostrzega dom.

— Czy to... twój dom?

— Nie — odpowiada jej. — Pożyczyłem go od jednego z przyjaciół. Nie znasz go.

Na moment zjawia się w jego uśmiechu gorycz, bo przypomina sobie po co go wynajął i zdaje sobie sprawę, że jego plany obróciły się w niwecz.

— Bardzo lubię to miejsce — mówi. Stawia szklanki na taborecie i napełnia je winem. — Byłem tu już dawniej przez kilka dni. Dziękuję ci że przyjechałaś.

— Oczywiście, że przyjechałam. — W jej głosie jest powaga.

Piją, wino jest lekkie i zimne. Jego uwagę zaprzęta myśl, jak ma zacząć mówić i czy w ogóle na to się zdobędzie.

Pszczoly brzęczą i bzykają. W jej przymrużonych oczach migoczą kwiaty i śnieg, które pragną pić światło, aby zachować swą biel. Miałyby ochotę zasnąć, powietrze jest przejrzyste i tak przyjemnie jest wciągać nosem dym tytoniu z Wirginii. Skulić się na leżaku i zasnąć. Głęboko w sen zawiedzie ją zapach ziemi i śpiew owadów i coś, co się właśnie budzi do życia, coś co delikatnie pociąga smyczkiem po miękkiej strunie szarej niepewności natury. Czy to wszystko nie jest dostatecznie rzeczywiste? A tamta rzeczywistość jest taka trudna i bezsensowna, i domaga się, by do niej powrócić.

Chmury prawie niewidoczne, tak równo i gładko pokrywają niebo, nasycają się światłem, które skupia się daleko nad fiordem i na krótką chwilę odbija się w wodzie oślepiającym blaskiem. Jego myśli ciągle krążą wokół jednego: jak zacząć? Kto mu zaręczy, że ona go zrozumie?

Teraz, kiedy ona tu jest, wydaje mu się, jakby wszystko dokoła zaczynało dławić się z dawna powstrzymywanym śmiechem. Czy stać cię na powagę, myśli z goryczą. Gdy sprawy przyjęły taki obrót, czy okaże się, że łączą nas tylko wesołe pogodne wakacje, krótkie i bez kłopotów? Roje

komarów przy kiosku z lodami, śmiech, baraszkowanie na piachu, wytrwale wycigi pływackie do ławicy; cisza krótkich nocy w jakiejś chacie, twój głęboki oddech? Wszystkie te łatwizny, tę lekką stronę życia mamy za sobą. Czy znajdę w tobie to, co teraz bardzo mi jest potrzebne? Czy potrafisz mi pomóc?

Spogląda ukradkiem na jej profil, zsunęła z głowy chusteczkę, jej włosy są jak obłok świetlistych błysków.

Chrząka, a ona otrząsa się i mówi, uprzedzając go:

— Zdaje mi się, że wiem, co chcesz mi powiedzieć. Zaczekaj z tym chwilę, dobrze?

Chmury coraz bardziej się rozświetlają, lecz ziemia ciągle jeszcze jest szara.

Wciąga głęboko powietrze i prostuje się.

— Teraz mogę już słuchać.

— Widzisz — zaczyna i zapala papierosa — długo się do ciebie nie odzywałem, ale miałem poważne ku temu powody. Mam przyjaciela, Jana, kolegę szkolnego, którego dawniej nie ceniłem specjalnie wysoko. Przed wybuchem wojny mieszkał z rodziną we Francji. Kiedy wybrałem się w tamte strony na wycieczkę na rowerze, odwiedziłem ich. Mieszkali w starym domu pod Arles. Byłem u nich przez parę dni. Tam zastała ich wojna. No, myślałem o nim, naturalnie, dosyć często, jak sobie radzi, co się z nim dzieje... Otóż któregoś ranka w zimie, o piekielnie wczesnej porze zjawił się u mnie. Tej samej nocy zeskoczył na spadochronie z angielskiej maszyny. Spytał, czy mógłby się u mnie zatrzymać na jakiś czas. Powiedział mi jasno i otwarcie, że byłoby to dla mnie ogromne ryzyko, ale oczywiście zgodziłem się, bo jakże mógłbym inaczej, a poza tym, właściwie ucieszyłem się z tego. I od tamtej chwili mieszkał u mnie.

— I nie odważyłeś się mi o tym powiedzieć?

— Tak — mówi z ulgą. — Często oczywiście zastanawiałem się, czy nie powinnaś go poznać, ale z drugiej strony...

— Naturalnie — przerywa mu. — A więc?

— Byli u mnie wczoraj.

— Złapali go?

— Nie. Żadnego z nas nie zastali. Byłem właśnie u znajomych, a Jan minutę przed ich przyjściem zeszedł na dół po papierosy... Na szczęście przeczuł coś podejrzanego. Ukrył się w bramie i stamtąd wszystko to obserwował. Jest bardzo opanowany. Pokój przetrzasnęli nam gruntownie. Dzięki Bogu, Jan wiedział, gdzie jestem, i natychmiast do mnie zadzwonił, żeby mnie ostrzec. Kiedy pomyślę, jak nam się wtedy poszczęściło, dostaję zawrotów głowy...

— Znaleźli coś... coś kompromitującego?

— Znaleźli — odpowiada. — Jan był zawsze bardzo ostrożny i nie zostawiał na długo w domu tego rodzaju rzeczy, ale właśnie wczoraj coś tam było, jakieś papiery, skrzynka naboju, części radiowe... Za parę godzin miał to wszystko oddać komuś innemu. Rozumiesz więc, że pewni ludzie nie mogą mnie od wczoraj specjalnie kochać.

Przerywa, a ona opiera się na leżaku i obserwuje zamgloną linię przeciwnieległego brzegu fiordu. Stara się dojrzeć miasto, ale bezskutecznie. Ulice, myśli. Noce, trzask, huk, warkot karetek, strzały. To nie dla niej.

— To znaczy, musisz się ukrywać?

— Chyba tak — odpowiada. — Sam nie wiem.

— Jednym słowem obdarli cię ze wszystkiego — zaczyna się nagle śmiać. — Nawet ze szczoteczki do zębów?

Czuje się trochę dotknięty, ale po chwili, mimo wszystko, musi śmiać się z nią razem.

— Wiesz, jak się tu dostałem? — udaje mu się wyjąkać. — Autostopem. A wiesz, kto mnie podwiózł? Niemiecki oficer.

Ich śmiech zwolna milknie, ale w jej głosie, ruchach, oczach długo jeszcze widać rozbawienie.

— Jan skontaktował mnie ze swoimi władzami — zaczyna znów mówić. — Zaproponowali mi, że pokryją moje straty, jeśli sobie tego życzę, ale co mi z tego? Przyjąłem od nich trochę pieniędzy, tyle tylko, żeby dać sobie radę przez kilka pierwszych dni. Mają przecież bardzo wiele znacznie poważniejszych wydatków.

— Wobec tego — dodaje po chwili — zaproponowali mi, że zorganizują dla mnie ucieczkę.

— Wyjeżdżasz? — Czuje na sobie jej uważne spojrzenie.

— Chyba tak — odpowiada. — Sam nie wiem.

Dolewa wina, dookoła butelki brzęczy pszczoła. Niedługo będzie lato, myśli.

— Chyba ci zimno! Chodź, przejdźmy się trochę! — Pomaga jej wstać z leżaka.

Gałazki sosny mają na końcach jasne delikatne czubki, igły są soczyste, mają smak dżinu. Z trawy poderwał się motyl i beładnie trzepocze nad lustrem wody, po chwili tracą go z oczu. Niech to wszystko diabli porwą, myśli. Dlaczego nie wolno nam tu zostać?

Idzie parę kroków przed nim, dogania ją, obejmuje ramieniem i kryje twarz w jej włosach.

— Nie spałem dziś — mówi jej. — Przez całą noc myślałem o tym... i o tobie.

— Dokąd idziemy? — słyszy jej głos i widzi, że się uśmiecha.

Przystają na szczycie skarpy, objęci, jej głowa opiera się na jego ramieniu. Świat wydaje się nie mieć końca w swoim chwiejnym bezruchu, woda pojaśniała, lecz ani jeden promień słońca nie łamie jej powierzchni.

— Wyobrażałam sobie — odzywa się, mimowolnie ściśszonym głosem, że któregoś z najbliższych dni wywiozę cię, choćby siłą, i zaciągnę cię do naszej chaty z zeszłego roku. Ojciec zgodził się na wystawienie ci zaświadczenia, a ja zawiadomiłabym kogo trzeba, że jesteś chory. Nawet byś o tym nie wiedział. Bo wiesz... kupiłam niewielką łódkę. Małą jolkę z żaglem. Tak sobie marzyłam, bo pora roku nadaje się chyba do zrobienia wycieczki po wodzie, żeby zajrzeć do wszystkich tych zatoczek, które oglądaliśmy tylko od strony lądu. No, ale...

Z trudem łapie powietrze, bo czuje między żebrami jej łokieć, odpycha go od siebie, puszcza się biegiem i woła:

...znajdę sobie innego!

I ucieka między drzewa, to tu, to tam. Raz prawie już ją złapał, ale w rękę zostaje mu tylko jej płaszcz, w który się oczywiście zaplątuje i dopiero przy samym domu udaje mu się ją przychwycić: pada przed nim na trawę i błaga o łaskę. Bierze ją za rękę, zakłada je na plecy i słyszy, że w jej śmiechu zjawia się jakby przestrasz. Nagle spotykają się ich usta.

A potem siadając na trawie poprawia włosy i mówi z dziecięcą powagą:

— Jestem głodna.

Sięga po płaszcz, i gdy wraca do niej z taczką kanapek, znów siedzi na leżaku. Musiał chyba zrobić je zanim tu przyszła, albo może przyniósł je z miasta?

— Proszę — mówi i nalewa do szklanek resztę wina.

— Dziwny z ciebie człowiek — zwraca się do niego, nie marnując ani jednego spojrzenia, aby zobaczyć czym nakrył stolik. — Nie rozumiem cię. Jesteś odważniejszy niż większość ludzi. Tak, miękki nie jesteś. I przecież się ich nie boisz, prawda?

Nie odpowiada. Cóż ma odpowiedzieć!

— Czy pamiętasz — mówi dalej — czy pamiętasz, jak poszliśmy kiedyś potańczyć? Obraził mnie wówczas jeden oficer. Wiedziałeś chyba co oni robią z takimi, którzy zachowują się wobec nich tak jak ty wtedy! Sam pokazywałeś mi ich fotografie. No, tak! — uśmiecha się. Miał w dodatku w oczach pełny rejestr kompleksów nadczołowieka, pamiętasz? I pistolet przy biodrze, i lokal roił się od jego ziomków. W tamtych okolicznościach byłeś odważny. Czy dlatego, że stałam obok i przyglądałam ci się? Nie, o tego rodzaju sprawach niedobrze jest dowiadywać się za późno — ciągnie dalej. — A poza tym powinienś wiedzieć, że nie stracisz mojego szacunku, jeśli uciekniesz. To także wymaga odwagi, czasem może nawet większej. Gdybym tylko mogła cię zrozumieć.

— To nie tak łatwo wytłumaczyć — odpowiada jej. — Chyba się boję. — Robi długą pauzę, zastanawia się. — Nie! Nie wiem.

Z wolna robi się coraz cieplej. Ziemia otulona obłokami

jak kocem, nie ma wiatru, jest cisza, można by pomyśleć, że nadciąga burza, gdyby nie to, że powietrze jest świeże i czyste. Jak wino, przemyka jej przez myśl. Ciąg drobnych ptaków przelatuje ze świergotem nad ich głowami.

— Wolność, swoboda! — odzywa się w końcu, jakby mówił do siebie. — Nie śniło mi się nawet, że istnieje tak dużo wolności. Nie wiem, czy jestem dostatecznie wytrzymały, czy mam dość sił, aby tę swobodę udźwignąć. Wszczepiono nam w umysły tyle różnych zakazów. Gdy wszystko się wali... wtedy człowiek widzi, ile z nich jest trwałych. Rozumiesz? Ile razy można je łamać, aby nie stać się kimś zupełnie innym?

Rozumie go, i kiwa wolno głową. Widzi ciągle ciemność, opustoszałe ulice, nagie echo. Krzyk-rozkaz i biegnące kroki.

— Wiesz, jak trudno mi w cokolwiek uwierzyć — uśmiecha się trochę zdziwiony swoją gotowością mówienia — wszystko jedno, czy dotyczy to polityki, czy czegokolwiek innego. Nielegalne gazety są oczywiście pełne kłamstw, tylko inaczej... może to konieczne. Wolność, honor, ojczyzna. Wolność, to właśnie to, co mamy teraz... jest przeciwnieństwem tego, czego się domagamy, a domagamy się bezpieczeństwa, jeśli to tak powinno się nazwać. Czy zabicie człowieka może być sprawą honorową? Nie zabijaj! Jakże często w głębi naszych spokojnych serc, gardziliśmy pastorami, gdyż mieli wątpliwości, czy to przykazanie należy rozumieć w jego najjaskrawszej dosłowności!

— Musisz mnie dobrze zrozumieć — mówi dalej. — Wydaje mi się... nie! Wiem, że z zimną krwią zabiłbym któreś z tych bydłał, gdyby to było konieczne. Wiem o nich dostatecznie dużo. Nie o to chodzi. Tylko... Ile razy wolno zabijać, kłamać, czać się, żeby nie stać się mordercą, kłamacą i tchórzem.

— Tak — odpowiada mu. — Masz rację. To wymaga... pewności, światła, do którego można się zwrócić, czegось niewzruszonego.

Ciesz się go jej odpowiedź, jest szczęśliwy, że go zrozumiała.

— Ale kiedy usiłuję zobaczyć to, co miałbym robić — mówi — widzę przed sobą ciemność. Gdzie są te granice, te zakazy? Zazdroszczę ludziom, którzy, tak jak Jan, potrafią podjąć swoje nowe zadania bez wahań, bez namysłu. Może nie zdają sobie sprawy z tego co robią, ale ...ale może to właśnie jest słuszne.

— Jeśli mnie o to pytasz — przerywa mu — powinienś wyjechać.

Spogląda nie niego szybko i dorzuca kilka słów, że nie ma w tym nic złego, że nie powinien się wstydzić, że i tam będzie mógł coś osiągnąć. Teraz zamyka oczy, a w głowie wirują jej dziwne obrazy. Widzi wielką salę koncertową, nie wie dlaczego, orkiestrę, która milczy; są też skrzypce, które grają, zawrotne solo, pijany potok dźwięków, ale jest głęboka cisza. Czy Beethoven był głuchy, kiedy tworzył swoją ostatnią symfonię? Nagły skok myśli. Wsłuchuje się w jej brzmienia. A więc powstała w próżni, której nie można sobie wyobrazić.

Jest światło i są ludzie, którzy go nie widzą, jej myśli snują się dalej. Może byłam dla niego za surowa? Ale jestem przy nim, powinien to wiedzieć. Może trzeba było opowiedzieć mu o bezpieczeństwie tam, w ciemności, o organizacji i odpowiedzialności, jaka na niej spoczywa, o tym, że troszczą się tam o to, żeby nikt nie zostawał ze swoją wolnością sam?

A w końcu... przemyka jej przez myśl. Co w końcu? Przypomina sobie nagle scenę z filmu: sylwetki trzech młodych ludzi na tle białego muru. W nagłej panice zamknęła oczy: nie! Nie! NIE! I kiedy strzały ucichły, na ekranie było już coś innego, kawiarnia, brzęk naczyń, tancerka.

Czy mam prawo? Czy wolno mi pokierować go tak, aby podjął się tego, czego ja sama nie mogłabym udźwignąć? Może uciec z nim razem i stanąć między nim, a jego wstydem?

Noce tam są jaśniejsze, można o wszystkim zapomnieć.

I znów widzi tych trzech młodych ludzi. Lecz teraz stoją dookoła niej, a poza nimi wszystko jest czarne.

Podchodzi do niego, bo właśnie wstał i gasi nogą papiero-
rosa; bierze go za kłapy marynarki.

— W tym czasie, kiedy nie widywaliśmy się — mówi spokojnie, obserwując swoje ręce — odwiedził nas mój wuj. Chyba już ci mówiłam, że wolno mu wszędzie jeździć. Był w Norwegii. W małej osadzie, gdzie przed wojną zwykle spędzał wakacje, spotkał znajomego rybaka. Człowiek ten był żonaty i miał czworo dzieci. Z całą pewnością nie wiedział nic, co mogłoby ich zainteresować, lecz pewnego dnia zabrali go. Jak wiesz, mój wuj jest rzeczowo myślącym człowiekiem. Kiedy o tym opowiadał, płakał, i teraz tłumaczy się każdemu, kogokolwiek spotka, wszystkim. Stał się innym człowiekiem. Był w Szwecji również. Niczym się tam specjalnie nie zajmował. Ale rozmawiał z uciekinierem z Polski. Tego, co tam się dzieje, nie można sobie nawet wyobrazić.

Muska go wzrokiem i odwraca oczy ku fiordowi, obserwuje go spod przymrużonych powiek.

— Mówię o tym tak spokojnie — znów się odzywa — bo dałeś mi miesiąc na rozmyślania. To nie znaczy jednak, że mogę się z tym wszystkim pogodzić.

Spogląda mu nagle prosto w oczy; zadziwia go ich pogodny wyraz.

— Uważam, że są sprawy, którym nie można się tylko przyglądać i jednocześnie pozostać tym, kim się jest.

Spostrzega na jej twarzy jakąś grę, której nie może odcyfrować. Czy bawi się ze mną, czy też...

— Oczywiście zostaje. Chciałem tylko usłyszeć twoje zdanie — mówi niedbale i w tym samym momencie głęboko oddycha.

Szarawe sklepienie chmur rozplómienia się nagle słonecznym blaskiem.

Podnosi głowę, patrzy w niebo i ściska jej rękę. Po chwili je puszcza.

Leży wpatrzony w nią jak w boginkę... a ona... jak długo milczy? Gdzieś daleko za pagórkami podnosi się głos dzwo-
nu i z wolna, minuta za minutą przebija się przez masy

nieruchomego powietrza, aby w końcu zbliżyć się do jego ucha. Przejmuje go zimny dreszcz. Za późno! Za chwilę zabraknie nam czasu... a niczego nie uzgodniliśmy... bo przecież to o nas chodzi... za moment ona wyjedzie... przecież nie ruszyliśmy z miejsca!

— Ukochana! — woła i chwyta ją za ramiona. — Mamy już tak mało czasu!

Widzi, że zdziwienie w jej oczach znika i zjawia się pełna niepokoju powaga... bierze go za rękę.

— Tak?

— Ukochana! — powtarza. Przepenia go cierpienie. — To przecież szaleństwo! Co postanawiamy? Do niczego nie doszliśmy!

— Nie — szepcze, uśmiechając się — ale... czy zostało nam jeszcze trochę czasu?

— Ukochana! — Kręci mu się w głowie, nie znajduje innego słowa które mogłoby wystarczyć, dostatecznie daleko sięgać w przyszłe miesiące, w przyszłe lata... spada w dół, w ciemną otchłań coraz niżej coraz głębiej. Czy nie rozumiesz, że czekam na twoją decyzję? Czy zostaniesz ze mną?

Zaciska ręce na jej ramionach i wpatruje się w nią, jakby się nigdy przedtem nie widzieli. Świat przestał istnieć, odplynął jak świetliste mgiełki. Są sami. I wreszcie dostrzega to, na co czekał, zjawia się to w nim i wypełnia radosną siłą, więc przywołuje w myślach obraz miasta, którego mroczność jest istniejącym faktem w jego słowach:

— Zostaje.

— Jestem przy tobie — słyszy jej słowa. — Może będziemy mogli się widywać. Jakkolwiek będzie, jestem z tobą.

Śmieje się, potrząsa nią, i znów się śmieje.

— Jakiż byłem niemądry! Zmarnowaliśmy cały dzień!

— Dzień? Och! Nie, nie zmarnowaliśmy go — mówi poważnie. — Jesteś pewny, zupełnie pewny, prawda? — ściska go za rękę. — Nie, nie odpowiadaj mi. Ale powinienes wiedzieć, że mnie dziś przeraziłeś.

Obejmują się i, gdy jej samochód podejżdza, przytuleni

do siebie podchodzą razem do bramy. Bardzo mu trudno się z nią żegnać.

— To z pewnością wada narodowa — ten lęk przed końcem — mówi do niej uśmiechając się ze smutkiem.

— To nie jest koniec — odpowiada mu spokojnie — to dopiero początek. Do widzenia! — woła.

— Do zobaczenia! — W jego oczach zjawia się panika, wokół siebie czuje pustkę.

Samochód rusza, podnosząc wielki tuman kurzu. Ze słupa telefonicznego zrywa się trznadel. Robi się zupełnie cicho.

Odchodzi i zatrzymuje się na zboczach, tam, gdzie przed chwilą razem siedzieli. Wie teraz, że mosty są spalone, że wszystko dokoła niego płonie. Palą się białe drzewa, a fiord mierzy w niego śmiertelną kulą światła. Chwiejąc się robi parę kroków i staje w potężnym blasku, jest nic nie znaczącym istnieniem w płomieniach, lecz teraz wypełnia go poczucie bezpieczeństwa, stać go na wszystko.

Przełożyła *Maria Bero*